

ENCELADUS



MAKSI^MDIETER

ENCELADUS

MAKS DIETER

ENCELADUS

Rozdział I

URANOS

Sto dwudziestego drugiego dnia misji zaczął być wyraźnie widoczny. Do tej pory wydawał się jedynie coraz jaśniejszą, niebieską plamką na tle czarnego jak smoła kosmosu. Teraz widać już było majestatyczne pierścienie – swoistą koronę planety. Dzięki tej wspaniałej aureoli nie dało się go pomylić z żadnym ciałem niebieskim w Układzie Słonecznym.

Saturn. Druga co do wielkości planeta w Układzie Słonecznym odsłaniała przed nim swoje piękno i potęgę. Niesamowity i potężny – niczym rzymski bóg, po którym planeta odziedziczyła nazwę. Przytłaczał swym ogromem i zachwycał pięknem. Widział go już setki razy na hologramach, które nie mogły się równać z widokiem na żywo. Kilkakrotnie miał okazję podziwiać z bliska innego olbrzyma – Jowisza, który podobnie jak Saturn posiadał majestatyczny urok. Teraz uznał, że to właśnie ta planeta wraz ze swymi pierścieniami jest zdecydowanie najpiękniejsza. Była jeszcze w znacznej odległości, lecz już można było dojrzeć gołym okiem największego z jego satelitów – Tytana.

Zastanowił się nad różnorodnością księżyców.

Od dzieciństwa wiedział, że Saturn posiadał największą w Układzie Słonecznym liczbę satelitów, która grubo przekraczała setkę. Niektóre z nich były olbrzymie i majestatyczne, a inne maleńkie i niewiele większe od asteroid, o kształtach daleko odbiegających od kuli. Właśnie tych karłowatych księżyców było najwięcej na orbicie, bo aż kilkadziesiąt. Każdy z nich miał swój własny niepowtarzalny urok, był odrębnym światem niczym z powieści fantasy.

W tej chwili interesował go jednak tylko jeden. Mimo iż jego powierzchnia była dziesięciokrotnie mniejsza od ziemskiego Księżyca, wykazywał niezwykle cechy, dzięki czemu od dziesięcioleci był obiektem uważnych badań NASA. To, co tam odkryto w ostatnim czasie, było na tyle intrygujące, że postanowiono zorganizować wyprawę naukową, którą właśnie dowodził. Jej celem było zbadanie tajemniczych zjawisk i anomalii związanych z niezwykle satelitą – Enceladusem.

Na spotkanie z tym tajemniczym księżycem zmierzał największą i najpotężniejszą maszyną, jaką kiedykolwiek stworzył człowiek. Podobnie jak ciało niebieskie, do którego miał dotrzeć, dostał nazwę po greckim tytanie. Na burcie dumnie widniał napis: URANOS.

Kapitan Mark Dębiński siedział w swoim fotelu na mostku i wpatrywał się w obraz potężnej planety, która od niedawna widoczna była na ekranie, będącym jednocześnie ogromnym oknem. Zastanawiał się teraz nad istotą samej wyprawy. Misja była bezprecedensowa i w pewnym stopniu ryzykowna. Od chwili, gdy dowiedział się o charakterze misji, wiedział, że to zadanie będzie wymagało więcej determinacji i opanowania niż wyprawy, w które do tej pory wyruszał. Świadomość olbrzymiej odpowiedzialności, jaka ciążyła na tej misji, a co za tym idzie na nim samym sprawiała, że presja psychiczna była ogromna, lecz był człowiekiem skupionym

i konsekwentnym. Nie należał do osób łęklwych, jednak miał przeczuć, że nadchodzące wydarzenia wystawią jego odwagę na potężną próbę. Jako pilot w NASA miał już za sobą kilkanaście wypraw kosmicznych; kilka misji badawczych i kilka zwiadowczych – wszystkie o podwyższonym stopniu ryzyka. Dębiński, jako jeden z najlepszych pilotów i dowódców, był kierowany na nie od ręki. Wyjątkowe umiejętności podejmowania szybkich decyzji oraz radzenia sobie ze stresem i kierowania załogą w sytuacjach kryzysowych sprawiały, że był idealną osobą do takich misji. Z racji swojej charyzmy wzbudzał spokój i respekt, dzięki czemu miał posłuch i szacunek wśród załogi. Jak do tej pory prawie wszystkie powierzone mu zadania kończyły się sukcesem, choć miał też mroczniejsze momenty w swojej karierze kapitana. Jednym z nich był incydent podczas misji w Pasie Asteroid, na orbicie planetoidy Ceres, który zaciążył nad jego przyszłością związaną z lotami w kosmos.

Wraz z drugim pilotem, Pablo Cervantesem, wyszli w przestrzeń kosmiczną, aby naprawić antenę uszkodzoną przez pędzący okruch skalny. Cervantes niedokładnie zapiął linkę mocującą podczas wychodzenia poza statek. Ta odpięła się i astronauta zaczął dryfować w kosmosie. Pewnie wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że Brazylijczyk wpadł w panikę nazywaną wśród astronautów kosmicznym lękiem przestrzeni lub po prostu kosmiczną gorączką. Skafander posiadał silniczki manewrowe, dzięki którym astronauta mógł wrócić na statek. Cervantes nie miał jednak doświadczenia w spacerach kosmicznych i to go zgubiło. Spanikował, za szybko oddychał i doznał napadu hiperwentylacji, a to pociągnęło za sobą kolejne tragiczne konsekwencje – włączył niewłaściwy silnik i zamiast wrócić na statek, odleciał w przestrzeń kosmiczną. Potem prawdopodobnie zemdleł, a kontakt z nim się urwał. Dębiński chciał go ratować, lecz zbliżała się

kolejna fala odłamków rozbitej asteroidy i musiał natychmiast wracać na statek. Pablo spadł na Ceres. Więcej go nie zobaczyli.

Mimo że ta śmierć nie była winą kapitana, co wykazało dodatkowo przeprowadzone śledztwo, czuł się odpowiedzialny za ten wypadek. Nie potrafił pozbyć się przeświadczenia, że mógł coś zrobić, aby temu zapobiec. Przeżył to tym bardziej, że Pablo był jego przyjacielem z czasów uniwersyteckich. Dębiński popadł nawet na krótko w alkoholizm. Z nałogu pomógł mu się wydostać inny przyjaciel – Mamoru Nishio, z którym latał do tej pory. Z czasem powrócił w kosmos jako kapitan i do tej pory odbył jeszcze trzynaście wypraw. Z pozoru był taki jak dawniej, ale zdarzenie to odcisnęło piętno na jego psychice niczym pieczęć w laku.

Obecna misja różniła się od pozostałych nie tylko długością lotu – mieli być pierwszymi ludźmi, którzy dotarli w pobliże Saturna – lecz również priorytetami oraz utajnieniem. Tym razem lot miał na celu nie tylko zbadanie z bliska konkretnego zjawiska czy pobranie próbek do analizy. Lecieli na spotkanie z czymś, o czym nie mieli pojęcia. Jako kapitan pierwszy raz w swojej karierze dostał tak skąpe informacje na temat celu misji oraz zjawisk, jakie przyszło im badać. Był prawie pewien, że naukowcy odkryli coś, o czym NASA nie chciała poinformować nawet kapitana. Wnioski były logiczne, a wątpliwości nasuwały się same.

Czas organizacji wyprawy był mocno ograniczony, więc weryfikacja kandydatów na stanowisko kapitana nie mogła trwać zbyt długo. Dębiński był najlepszym kandydatem i dyrekcja NASA nie miała co do tego wątpliwości. Nie brakowało im dowódców, ale pod względem doświadczenia w dowodzeniu misjami, których celem było odkrywanie i badanie nowych obiektów i zjawisk, wybór był idealny. Jego przełożony, komandor Peter Clarke, gdy tylko dowiedział się o misji

i jej charakterze, wiedział, komu powierzyć dowództwo. Od początku przygotowani do wyprawy Dębiński wiedział, że to będzie jedna z najważniejszych – o ile nie najważniejsza z misji w jego karierze.

Niestety został wtajemniczony tylko w część odkrycia, jakiego dokonali naukowcy z NASA podczas badań anomalii na Enceladusie. Czuł niepokój w związku z charakterem tej misji, choć podekscytowanie na myśl o wyprawie było nieporównywalnie silniejsze. Powód, dla którego zorganizowano wyprawę, był na tyle poważny, że wszystkie dokumenty z nią związane, badania, które doprowadziły do tajemniczego odkrycia, jak i sam projekt zostały opatrzone klauzulą „Ścisłe tajne”. Informacje o misji i jej celu nie miały prawa przedostać się do opinii publicznej, o co zadbały odpowiednie służby. Z tego powodu fascynacja przed odkryciem czegoś nowego była silniejsza od strachu przed nieznanym. Miał przeczucie, że to nieznanne będzie czymś zupełnie odmiennym od tego, z czym miał do czynienia do tej pory.

Głównym zadaniem Dębińskiego przed misją było skompletowanie załogi. Z góry wiedział, że wybierze osoby, z którymi latał już wielokrotnie. Byli to ludzie o wyjątkowym doświadczeniu i umiejętnościach. Stanowili trzon jego załogi podczas większości lotów i nie wyobrażał sobie tej misji bez któregoś z nich. Komandor Clarke również znał ich dobrze, więc przystał na ten wybór bez problemu. Jednak tym razem w skład załogi mieli wejść także wybitni naukowcy światowej sławy. Takie rozwiązanie było niesłychane, gdyż z reguły podczas misji wystarczała aparatura badawcza, ale w tym wypadku najwidoczniej była niewystarczająca. Były to osoby spoza NASA, które widział po raz pierwszy w życiu – jedni z najlepszych na świecie fachowców w swoich dziedzinach. Wybitnej klasy: astrobiolog, astrogeolog oraz astrofizyk, wytypowani przez specjalną komisję. W jej skład z kolei weszli naukowcy z NASA i ESA oraz wysocy rangą wojskowi z Pentagonu, co

świadczyło o powadze i znaczeniu wyprawy, a także jej niezwyklej charakterze. Jak się wkrótce okazało, obecność wojskowych miała też inny powód; w skład załogi mieli wejść czterej komandosi z Marines, co było już absolutnie bezprecedensowym zdarzeniem w historii lotów załogowych w kosmos. Dawało również dodatkowy powód do niepokoju. Oficjalny cel ekspedycji został przekazany w sposób lakoniczny i nieprecyzyjny, co nie podobało się nawet dyrekcji agencji kosmicznej. Nie mieli jednak zbyt wiele do powiedzenia – rząd położył rękę na misji.

Skompletowana załoga kapitana Dębińskiego została poinformowana, że mają wyruszyć w kierunku Enceladusa, satelity Saturna, którego zachowanie stało się ostatnio nader niepokojące. Głównym celem wyprawy było zbadanie księżyca z orbity i na powierzchni oraz pobranie rozmaitych próbek. Z raportów przesyłanych przez satelity wnioskowano, że z orbitą Enceladusa dzieje się coś niezwyklego. Księżyc czasem przyspieszał, a innym razem zwalniał. Kiedy indziej znowu zbaczał z orbity. Takie zjawisko było bez precedensu w badaniach nad jakimikolwiek ciałami niebieskimi. Coś takiego nie mogło mieć miejsca z naukowego punktu widzenia, a załoga miała się dowiedzieć, czemu tak się działo. Poza tym występowały licznie inne anomalie, które należało zbadać na miejscu.

Tyle. Wedle oceny załogi – stanowczo za mało.

Mimo enigmatyczności celu misji, wszyscy – nawet naukowcy – wiedzieli, że ze względu na jej charakter nie było wskazane zadawanie zbyt wielu pytań. Mogli jedynie spekulować, na to mieli sobie jednak pozwolić dopiero podczas lotu. Obecność wojskowych również rodziła wiele pytań. Ludzie Dębińskiego, przyzwyczajeni do pełnienia służby, nie pytali, dlaczego na pokładzie znaleźli się tak niezwykle goście. Naukowcy nie mieli ku temu okazji, gdyż tuż przed wylotem

zostali zahibernowani wraz z komandosami, aby zostać obudzonymi po przybyciu na miejsce. Ta podstawowa załoga, czyli dwaj piloci: komandor porucznik Mamoru Nishio, będący jednocześnie pierwszym oficerem, zwanym też oficerem naukowym, i podporucznik Olga Iwanienko¹, a także drugi oficer naukowy inżynier Peter McLoyd oraz konsultant medyczny Katrina Sega, nie zostali poddani hibernacji, choć należała na to dyrekcja NASA. Statek, którym mieli polecieć, wyposażony był w system sztucznej inteligencji, będący w stanie samodzielnie kontrolować wszystkie parametry techniczne podczas trzech miesięcy lotu. Tym samym pierwotnie cała załoga miała być uśpiona, aby ograniczyć do minimum zużycie prowiantu. Jednak sprzeciw kapitana był stanowczy i bezkompromisowy. Zażądał, aby wraz z załogą mogli kontrolować zarówno lot, jak również komputer – od początku do końca. Po latach spędzonych na dowodzeniu statkami kosmicznymi nie mógł się przemóc, aby powierzyć życie swoje i załogi w ręce SI, bez możliwości kontrolowania jej poczynań. Ze względu na brak czasu potrzebnego na poszukiwanie nowego dowódcy wraz z załogą, która chciałaby latać pod innym dowództwem, ostatecznie zarząd misji przystał na to ultimatum.

To, co bez wątpienia cieszyło kapitana w tej misji, był jego nowy, wymarzony statek – Uranos. Wraz z Nishio zastanawiali się któregoś razu nad pochodzeniem jego nazwy; nie potrafili dojść do tego, jaki sens miała taka analogia? Według mitologii greckiej Uranos był ojcem Enkeladosa... Żaden z nich nie widział w tym logiki, ale obydwaj wiedzieli, że nie ma większego sensu roztrząsać na siłę absurdów administracji NASA. Porzucili więc próbę rozwiązania zagadki. „Ważne, że

¹ od 2036 roku, odkąd zaczęły się regularne wyprawy międzygwiazdne, NASA wprowadziła stopnie na statkach kosmicznych odpowiadające tym w marynarce wojennej.

dobrze brzmi” – zakończył Nishio, po czym rozmowa zeszała na temat zadania, które mieli wykonać.

Dębiński pokochał ten statek od pierwszego wejrzenia. Miał jednak zastrzeżenie – nie mógł znieść sztucznej inteligencji. Nie ufał jej i nie umiał się przyzwyczaić do jej obecności. Nie miał jednak zamiaru narzekać. Doszedł do wniosku, że przez trzy miesiące lotu jakoś zaakceptuje ten fakt. Poza tym uważał tę maszynę za istne чудо. Statek powstał na stacji kosmicznej na orbicie okołoziemskiej jako nowoczesny prototyp i stamtąd miał wyruszyć w kierunku Saturna. Sam projekt istniał dużo wcześniej i został stworzony z myślą o dalekich wyprawach badawczych, nawet poza granice Układu Słonecznego. Obecny cel nie znajdował się aż tak daleko, nikt z projektantów jednak nie podejrzewał jak niezwykła i szalenie ważna dla całej ludzkości będzie dziewicza misja Uranosa. Wygląd statku był jego dużym atutem. Według Dębińskiego był najładniejszym statkiem, jaki stworzyła NASA. Został zaprojektowany trochę w celach propagandowych – miał być wizytówką najnowocześniejszej myśli technologicznej i nowych, poważnych wypraw badawczych NASA. Agencja przez ostatnich kilkanaście lat była obiektem ataków różnego rodzaju środowisk rządowych oraz pozarządowych, jakoby ekspansja kosmiczna traciła rację bytu. NASA i ESA wydawały miliardy dolarów na podbój kosmosu, a na Marsie powstała dopiero jedna baza, zaś przewidywany dochód z wydobywania tamtejszych surowców do tej pory nie nastąpił. To samo miało miejsce w przypadku Księżyca i Ceres. Koszty wypraw kosmicznych wzrastały z roku na rok wprost proporcjonalnie do ambicji amerykańskiej agencji kosmicznej, a zysków jak nie było, tak nie było. Szereg projektów technologicznych miał położyć temu kres, a projekt Uranosa miał być prekursorem tej inicjatywy, mimo iż kosztował dodatkowe czterdzieści dwa miliardy dolarów, przez co podniósł się jeszcze większy krzyk.

Nikt z oponentów nie wiedział wtedy, że zadanie, jakie stanęło przed tą maszyną i jej załogą, będzie dużo ważniejsze, niż wszelkie zyski.

Kadłub statku mierzył ponad dziewięćset osiemdziesiąt metrów, co było absolutnym rekordem, i składał się z trzech części: żagla wiatru słonecznego, obrotowej części mieszkalnej i rufy, w której mieścił się najnowocześniejszy system napędu mikrofalowego wspomagany reaktorem jądrowym. Część mieszkalna składała się z dwóch modułów, które obiegały kadłub łagodną spiralą i obracały się wokół niego, tworząc siłę odśrodkową i tym samym sztuczną grawitację. Tam też znajdował się mostek i sekcje podtrzymujące życie, takie jak szklarnia czy system uzdatniania wody pitnej. Na dziobie rozpostarta była olbrzymia, pokryta złotem czasza żagla wiatru słonecznego o rozpiętości prawie pół kilometra, która nadawała maszynie majestatyczny wygląd i olbrzymią prędkość. Nie ulegało wątpliwości, że statek robił niesamowite wrażenie.

Kiedy Dębiński, dwa lata wcześniej po raz pierwszy ujrzał Uranosa przez okno stacji kosmicznej, przyznał w duchu, że to najpiękniejszy statek, jaki kiedykolwiek widział. Zamarzył wtedy, żeby kiedyś nim dowodzić. Gdy w drugim miesiącu przygotowań do misji, dowiedział się od komandora Clarke'a, że polecą Uranosem, a on obejmie dowództwo, ze szczęścia w duchu fikał koziołki, choć nie pokazał swojego entuzjazmu przed przełożonym. Ten jednak wiedział o jego słabości do tej maszyny. Clarke osobiście bardzo lubił Dębińskiego i okazywał mu sympatię przy każdej możliwej okazji. I z wzajemnością – Mark również bardzo szanował swojego bezpośredniego przełożonego, który wzbudzał powszechny szacunek. Nie można było tego samego powiedzieć o dyrektorce NASA; Milton Steinmeyer był wyjątkowo nieużyтым człowiekiem, typowym szefem-tyranem, który wymaga jak najwięcej, nie licząc się z ludźmi. Plan miał być wykonany

i to w taki sposób, w jaki on chciał. Nie znosił sprzeciwu, dlatego też Dębiński miał z nim kilka ostrych spięć. Mark miał tę wadę, że nie umiał powstrzymać się przed reagowaniem na chamskie traktowanie, nawet ze strony przełożonego. Gdyby nie komandor Clarke, który się za nim wstawiał, pewnie dawno zostałby zdegradowany albo nawet wyleciałby z NASA. Dębiński wiedział, że brak umiejętności przemilczenia był błędem w stosunkach z przełożonymi i że kiedyś narobi sobie tym kłopotów. Tym bardziej był wdzięczny komandorowi za wsparcie. Nie wyobrażał sobie życia poza NASA. Po stracie dwóch żon, loty w kosmos i córka Rose były jego całym światem.

Nad prawidłowym działaniem wszystkich sekcji statku czuwał najnowocześniejszy komputer z programem sztucznej inteligencji – AICS8801 (Artificial Intelligence Computer System), potocznie nazywanym przez załogę Ellie. Ksywka powstała, według niektórych plotek, od imienia żony głównego twórcy systemu – Asimova. Ponoć bardziej kochał stworzoną przez siebie maszynę... Krążyły pogłoski, że nawet wgrany do systemu głos należał do żony głównego projektanta – Eleonory. To jednak w najmniejszym stopniu nie zmieniło stosunku kapitana do SI. Dotychczas dowodził statkami, na których komputer nie umiał podejmować własnych decyzji i myśleć za załogę, był jedynie automatem wypełniającym polecenia ludzi. To, że trzeba będzie traktować komputer jak członka załogi i liczyć się z jego zdaniem, w ogóle mu się nie podobało i momentami miał obawy, co do tej „współpracy”. Zachował to jednak dla siebie. Załoga nie powinna wiedzieć o słabościach kapitana. Nie podczas takiej misji. Momentami wyrzucał sobie nawet, że to przecież w dalszym ciągu maszyna, poza tym SI stanie się niedługo powszechna i mimo wszystko będzie musiał ją zaakceptować.

Wraz z centralnym układem sterującym SI, Uranos był najbardziej zaawansowaną technologicznie maszyną stworzoną przez człowieka.

Naszpikowany najrozmaitszą aparaturą badawczą, wyposażony w superwydajny napęd mógł wykonywać loty nawet na krańce Układu Słonecznego, aż poza Pas Kuipera. Obydwa napędy – mikrofalowy, wspierany reaktorem atomowym, i słoneczny, wykorzystujący fotony oraz wiatr słoneczny – rozpędały statek do ogromnej prędkości pięciuset tysięcy kilometrów na godzinę, co było rekordem w lotach kosmicznych.

Ten cud techniki zmierzał z pełną prędkością w stronę Saturna, wokół którego krążył niezwykle satelita. Kapitan podziwiał widok na głównym ekranie, po raz setny zastanawiając się nad istotą misji. Jedno było jasne: ani on, ani nikt z załogi nie miał pojęcia, co tam znajdują. Po kilkunastu tygodniach rozważań oczywistym było, że nie lecą na rutynowe badania. Mieli znaleźć coś konkretnego, chociaż nikt głośno o tym nie mówił. Okoliczności i pośpiech, w jakim misja została zaplanowana i realizowana, nie pozostawiały złudzeń – NASA musiała odkryć coś bardzo intrygującego na Enceladusie. Patrząc w maleńką białą kropkę na obrzeżu ostatniego pierścienia Saturna, będącą celem ich misji, Dębiński rozważał najróżniejsze hipotezy. Obecność wojska i utajnienie misji nie dawały spokoju. Miał przeczucie, że mogą z tej misji nie wrócić cało. Nie podzielił się tą myślą nawet z Nishio, mimo że był jego zastępcą, a prywatnie byli przyjaciółmi. Wolał nie dzielić się z załogą takimi obawami. Miał nadzieję, że wykonają swoją misję szybko i bez przeszkód, jednak w głębi duszy czuł, że tak nie będzie. Z tym księżycem coś było nie w porządku, lecz ani kapitan, ani jego załoga, nie mieli pojęcia, co to może być i co może oznaczać dla nich i dla całej ludzkiej cywilizacji.

Rozdział II

RĘKA BOGA

Do wejścia na orbitę Enceladusa pozostało dziesięć dni. Czas na pokładzie był liczony według ziemskiej doby, dzięki czemu cykl fizjologiczny załogi nie był zaburzony. Dni były monotonne i upływały załódze na rutynowych czynnościach. Wieczorami cała piątka rozprawiała po kolacji na przeróżne tematy. To częściowo rozładowywało napięcie związane z tajemnicą misji i dawało odskocznnię od codzienności. Gdy nie siedzieli w mesie, podstawą były ćwiczenia fizyczne, utrzymujące właściwą sprawność ruchową członków załogi.

Najbardziej popularny był jednak najnowszej generacji holodeck, którego nazwę zaczerpnięto z popularnego w XX wieku serialu telewizyjnego Star Trek. W założeniu program miał zapewniać rozrywkę i odpoczynek od codzienności życia pokładowego tym członkom załogi, którzy akurat nie byli zahibernowani. Do jego systemu można było wgrać dowolny program wirtualnej rzeczywistości, w zależności od tego, na co kto miał ochotę. Najpopularniejsze były gry, począwszy

od golfa, a skończywszy na manewrach wojennych w wybranym plenerze historycznym. Dębiński i Nishio z reguły wybierali średniowiecze i obronę zamku przed najeźdźcami, z kolei Olga i Katrina grały razem w piłkę plażową. Olga, gdy była sama, wpisywała w program nocną wspinaczkę wysokogóorską przy pełni księżyca. Jedynie McLoyd, jako tradycjonalista i człowiek starszej daty, nie przepadał za programami wirtualnej rzeczywistości. Twierdził, że żaden, nawet najlepszy holodeck, nie zastąpi ludzkiej wyobraźni i że woli książki. Miał ich całą kolekcję na półce w swojej kajucie. Z reguły były to powieści grozy – od Edgara Alana Poe po Stephen Kinga.

Najbardziej popularne były jednak wieczory w mesie, spędzane na rozmowach, przy trunkach, nawet alkoholowych, które nie były zakazane, a wręcz zalecane na czas lotu, podobnie jak holodeck, mając na względzie odpowiednią kondycję psychiczną członków załogi. Taka metoda antystresowa została wprowadzona kilkanaście lat wcześniej, po wielu burzliwych dyskusjach. Argumenty przemawiające za takim rozwiązaniem były silne: załoganci zamknięci w klaustrofobicznych pomieszczeniach, bez możliwości wyjścia na zewnątrz, wciąż wykonywali te same czynności i widywali te same twarze – byli narażeni na wiele psychoz neurotycznych, z których najczęstszymi były stany depresyjne. Nawet najsilniejsze psychicznie osoby mogły przejść załamanie nerwowe, a to ostatnia rzecz, na jaką może sobie pozwolić astronauta. Wieczór spędzony na miłych rozmowach przy szklance johnniego walkera lub lampce wina pozwalał załodze na rozluźnienie i odstresowanie. Metoda miała swoich zwolenników i przeciwników, tym drugim brakło jednak argumentów, gdy postanowiono, że odpowiednie dawki alkoholu będzie kontrolował komputer pokładowy. Było to nie w smak załodze, ale piecza SI była podstawowym warunkiem dopuszczenia spożycia alkoholu na pokładzie.

Pewnego wieczoru inżynier zaczął dyskusję o naturze zjawisk na Enceladusie. Uważał, że na satelicie zachodzi jakieś zjawisko fizyczne, związane z oddziaływaniem grawitacji Saturna. Astrofizyk spał zahibernowany, więc nie mógł skonfrontować swoich domysłów z wiedzą fachowca, lecz argumenty McLoyda brzmiały przekonująco. Po chwili każdy miał na ten temat swoją teorię, mniej lub bardziej intrygującą, przez co rozmowa w niedługim czasie zeszyła na temat cywilizacji pozaziemskich. Kapitan, patrząc przez pryzmat szklanki brandy z colą w połączeniu z jasnoniebieskim światłem lampy ksenonowej, przysłuchiwał się rozmowie McLoyda z Nishio.

– Jeśli założyć, że życie we wszechświecie jest możliwe, trzeba wziąć pod uwagę różne warianty – mówił inżynier, mocno przy tym gestykulując. – Produkcje hollywoodzkie zakładają z reguły, że są to istoty podobne do nas, czyli są humanoidami. Tymczasem obce życie może się różnić formą od naszego o wiele bardziej, niż byśmy tego chcieli. Nie musi być nawet oparte na węglu, tylko na przykład na krzemie. Wszystko zależy od warunków panujących na danej planecie czy też satelicie planety, na którym też przecież może istnieć życie – począwszy od ciśnienia atmosferycznego, poprzez wielkość, temperaturę, a skończywszy na gwiazdzie lub gwiazdach czy planetach, wokół których orbituje. Zresztą nie muszą to być przecież żółte karły jak nasze Słońce, mogą to być czerwone lub białe karły, lub nawet pulsary, co z pewnością także musiałyby mieć wpływ na formę życia na planecie krążącej wokół takiej gwiazdy. Weźmy pod uwagę także wielkość planety lub też satelity zdolnych wytworzyć życie. Jeśli planeta będzie dziesięć razy większa od Ziemi, to istoty, które się na niej znajdują, również mogą być od nas dziesięć razy większe, bo grawitacja na takiej planecie też będzie proporcjonalnie silniejsza, a już z pewnością – w przypadku humanoidów lub istot endoszkieletowych – dużo bardziej umięśnione.

Według mnie na takich planetach prędej będzie można spotkać istoty insektoidalne o strukturze egzozskieletowej. I na odwrót – osobniki mogą być mikroskopijnych rozmiarów w przypadku małych ciał niebieskich. Mogliby nas odwiedzać i obserwować od tysięcy lat, a my nawet byśmy tego nie zauważyli. Dlatego powinniśmy postrzegać możliwość istnienia obcej formy życia przede wszystkim pod kątem środowiska, w którym mogło się wykształcić. Podczas ewolucji naszej planety na rozwój życia miał wpływ cały szereg czynników. Nastąpiło kilka masowych wymierań, spowodowanych gwałtownymi zmianami w klimacie lub katastrofami kosmicznymi, co miało miejsce choćby w przypadku dinozaurów. Gdyby nie asteroida, która wtedy uderzyła w Jukatan, ludzkość prawdopodobnie nigdy by nie powstała, a dinozaury mogłyby latać samolotami i rozmawiać przez telefony komórkowe! To samo się tyczy olbrzymich owadów z epoki kambryjskiej. Na Ziemi w początkach rozwoju życia panowały stawonogi w chitynowych pancerzach i to one rządziły światem niepodzielnie przez kilkaset milionów lat. Dopiero zmiany klimatu sprawiły, że to ostatecznie kręgowce oparowały planetę. Dlatego, moim zdaniem, jeśli życie we wszechświecie jest powszechne, to najczęściej przypomina właśnie owady.

– A nie przyszedł wam do głowy jeszcze jeden czynnik? – wtrąciła Katrina.

– Co masz na myśli?

– Strzałka czasu.

Wszyscy skupili wzrok na lekarce.

– Chodzi o to, że na Ziemi życie toczy się takim tempem, w jakim się wykształciło dzięki środowisku. Inne otoczenie mogło nadać odmienne tempo życia. Nawet na Ziemi różne zwierzęta dostosowują szybkość rozwoju i egzystencji do warunków środowiskowych. Weźmy za przykład choćby kolibra i leniwca. Na innych planetach

ta różnica może być o wiele bardziej znacząca. W zależności od sprzyjających lub niesprzyjających warunków czas rozwoju mógł się wydłużyć lub skrócić u różnych cywilizacji. Populacja, która miała ciężkie warunki rozwoju, będzie względem nas bardzo powolna. Możemy ich postrzegać jako istoty niezwykle anemiczne, nawet do tego stopnia, że wyda nam się, iż w ogóle się nie poruszają. Z kolei stworzenia, które miały bardzo sprzyjające środowisko, będą szybkie. Moglibyśmy je widzieć jako postacie poruszające się z taką prędkością, że zauważymy jedynie smugi.

– W takim wypadku zawładnęliby Ziemią, zanim zdążylibyśmy ogłosić alarm! – zauważył McLoyd.

– I tutaj możemy się pokusić o definicję boga – odezwał się tym razem kapitan, dopiwszy wcześniej drinka. – Kto nam zagwarantuje, że nie jesteśmy obserwowani od dziesiątek tysięcy lat przez cywilizacje dużo bardziej rozwiniętą od naszej, której istnienia nie możemy udowodnić ani nawet zrozumieć? Chyba każdy słyszał o teorii ZOO. Różnica w rozwoju cywilizacyjnym pomiędzy nami a obserwatorami z kosmosu może być olbrzymia w zależności od tego, jak stara byłaby taka cywilizacja. Podobnie jak mrówka nie jest w stanie zrozumieć i pojąć człowieka, który obserwuje ją przez szklaną ściankę terrarium. Ludzie w swojej hipokryzji uważają się za panów Ziemi, a niedługo zapewne całego wszechświata, a prawda jest taka, że gównu wiemy o nas samych, a co dopiero o wszechświecie. Stworzyliśmy cywilizację i myślimy, że pozjadaliśmy wszystkie rozумы, ale pewnego dnia ludzkość może napotkać istoty o potędze, jakiej nie potrafimy sobie wyobrazić. I jak wtedy zdefiniujemy taką istotę...? – Kapitan sięgnął po pięknie zdobioną, kryształową karafkę i wyjął szklaną zatyczkę.

– *Kapitanie! Wykryłam, że poziom alkoholu we krwi przekroczył u pana dopuszczalną dawkę na dziś. Nie może pan spożywać więcej*

napojów alkoholowych – odezwał się łagodny kobiecy głos komputera pokładowego.

Dębiński ostentacyjnie zatkał na powrót butelkę.

– Dobrze, mam, zaraz idę spać.

Wszyscy jak jeden mąż gruchnęli śmiechem.

– Zgadzam się z kapitanem w kwestii obcych. – Tym razem głos zabrał Nishio. Wcześniej jedynie słuchał, raz po raz zwilżając usta wytrawnym winem. Nie był typem gaduły, jednak kilka lampek wina zrobiło swoje, więc postanowił zabrać głos. – Pójdę jeszcze dalej. Badania kosmosu udowodniły, że wszechświat jest tak niewyobrażalnie wielki, iż byłoby rzeczą wielce nieprawdopodobną, gdyby ludzkość okazała się jedyną inteligentną formą życia. Już sto lat temu wspominał o tym Drake. Jeszcze wcześniej Fermie zauważył, że coś jest nie tak z otaczającym nas kosmosem. Przecież, biorąc pod uwagę wielkość i wiek choćby naszej Drogi Mlecznej, już dawno powinniśmy napotkać życie. Ale spójrzmy na to z innej strony: jeśli jakaś cywilizacja istnieje od miliardów lat, to jej ewolucja mogła doprowadzić do postaci, którą trudno by nam było sobie wyobrazić, na przykład do stanu, w którym pozbyli się fizycznych ciał i podróżują przez wszechświat jako chmura materii obdarzona inteligencją. Wydaje się nieprawdopodobne, ale nie można zaprzeczyć, że tak nie jest. Czy taka istota nie zostałaby nazwana przez Ziemiaków aniołem lub wręcz bogiem? A nawet postać Boga jako stwórcy wszechrzeczy... Czyż nie mógł stworzyć wszechświata podobnie jak małe dziecko dmucha bańkę mydlaną? Teleskopy obserwujące krańce wszechświata zaobserwowały supergromady galaktyk, które w większej perspektywie tworzą strukturę do złudzenia przypominającą sieć neuronową w mózgu. Przypadek? Może tak, a może nie? Spójrzmy choćby na podobieństwo struktur w kosmosie – dlaczego budowa atomu tak bardzo

przypomina budowę Układu Słonecznego? Odpowiedcie, że rządzą nimi te same prawa fizyki. Ale czy mogły one zaistnieć same z siebie? A może są dziełem istoty, dla której jesteście już nawet nie mrówkami w terrarium, lecz bakteriami...? Wiem jedno. Jako ludzkość mamy jeszcze sporo do odkrycia, lecz to, co znajdziemy, może nam się nie do końca spodobać.

– I ja tak myślę. Sądzę także, że pora na spoczynek. Żandarm nie pozwala więcej wypić, więc czas na sen – skwitował kapitan, po czym wstał i pożegnał się. Reszta załogi poszła za jego przykładem. W drodze do swojej kajuty myślał wciąż nad rozmową w mesie. Jeszcze w łóżku, patrząc przez okno na przesuwane się smętnie gwiazdy, analizował zagadnienia dyskusji sprzed kilkunastu minut. Coś nie dawało mu spokoju, nie wiedział jednak, jaka jest tego przyczyna. Myśli zaczęły mu się zlewać, mieszać, przeplatać. A co jeśli na Enceladusie... Zanim dokończył, myśli rozplynęły się, przechodząc w sen.

We śnie spotkał potężną istotę. Był przekonany, że to Bóg, który przybrał postać chłopca. Prowadził z nim rozmowę, stojąc na plaży w środku nocy. Ocean szumiał spokojnie, wyrzucając spienione fale na piasek, a gwiazdy świeciły niezwykle intensywnie. Widział wyraźnie całą Drogę Mleczną, a z prawej strony nieba – Księżyc w pełni. Tuż nad horyzontem wyraźnie świeciła konstelacja Oriona, w szczególności jego pas, na który składały się trzy gwiazdy ułożone obok siebie. Środkowa z nich wyraźnie różniła się od pozostałych. Zdziwił i zaniepokoił go ten fakt. Mieniła się wyjątkowym blaskiem o zielonkawej poświacie. Próbował sobie przypomnieć jej nazwę. Potem spojrzął na chłopca i spytał, dlaczego zabrał mu żonę, jego ukochaną Kiriko i czy kiedyś jeszcze ją zobaczy? W odpowiedzi usłyszał, że wcale jej nie zabrał, że przeszła jedynie w inny wymiar duchowy i niedługo ją spotka. W pewnej chwili jego uwagę przykuł Księżyc. Był dziwny. Kratery,

które tak dobrze znał, zniknęły, a ich miejsce zajęły ogromne bruzdy jak po zadrapaniu przez jakiegoś kosmicznego potwora. Blask bijący z powierzchni stał się oślepiający. Wtedy go poznał. Enceladus. Spojrzał w miejsce, gdzie stał chłopiec, ale zamiast niego ujrzał dojrzałą kobietę niezwyklej urody. Miała na sobie złotą suknię, świecąca równie mocno co księżyc nad ich głowami. Od niej również bił niezwykle, zielonkawy blask.

– Nie lękaj się. Przyjdź do mnie, a wtedy wszystko stanie się jasne – usłyszał aksamitny głos postaci, jednak jej usta się nie poruszały. Chciał zapytać, kim była i dokąd ma przyjść, ale usłyszał tylko, że niedługo pozna całą prawdę i wszystko zrozumie. Potem otworzyła usta i wydobył się z nich dziwny, modulowany dźwięk, prawie pisk, który narastał z każdą chwilą. Narastał i narastał...

Rozdział III

SYGNAŁ

Po wyjściu kapitana z mesy wszyscy prócz lekarki udali się do swoich kajut. Katrina postanowiła jednak odwiedzić przed snem holodeck. Poprosiła Ellie o wgranie jednego z jej programów. Wpisała go sobie jeszcze na początku wyprawy. Był to krajobraz z jej rodzinnych stron w Alabamie; niewielka rzeka, bujny sosnowy las i łąka, za którą w oddali widać było farmę – jej rodzinny dom. Na horyzoncie zachodzące letnie słońce rzucało ostatnie promienie, z drugiej strony nieba widać było pojedyncze gwiazdy. Od strony farmy dobiegała muzyka: Lynyrd Skynyrd – zespół rockowy, którego słuchała w młodości. W takim miejscu spędziła najlepsze chwile swojego życia – dzieciństwo i dorastanie. Do momentu, w którym ojciec zmarł na nowotwór mózgu. Miała wtedy szesnaście lat. Wkrótce potem jej mama wpadła w alkoholizm i Katrina musiała zająć się młodszym o pięć lat braciszkiem. Farma popadła w długi i gdy dziewczyna skończyła dwadzieścia lat, trzeba było sprzedać gospodarstwo. Potem było już tylko gorzej. Matka zmarła po

kolejnych dwóch latach, zostawiając ją samą z bratem. Postanowiła wtedy, że się nie podda. Hart ducha pozwolił jej nie tylko przetrwać, ale także spełnić marzenia. Najważniejszym z nich było znaleźć się wśród gwiazd. Od kiedy po raz pierwszy spojrzała w niebo, spacerując jako sześćioletnia dziewczynka po łące, której replika znajdowała się teraz pod jej stopami, wiedziała, że chce polecieć w kosmos. Starszy brat, którego fascynował wszechświat, pokazywał jej jaśniejsze gwiazdy i konstelacje, wymieniając ich nazwy, a ona była tym zachwycona. Od tamtej pory niebo stało się jej pasją. Gdy brat wyjechał na studia, postanowiła, że kiedyś spełni swoje marzenie. Minęły lata. Choroba, która doprowadziła do śmierci jej ojca, sprawiła, że na pierwszym miejscu postawiła sobie za cel leczyć ludzi. Poszła do akademii medycznej i została lekarzem. Jej dziecięca pasja przetrwała dzięki czemu w końcu trafiła do NASA i wkrótce zaczęła latać w misjach jako lekarz pokładowy. Pamiętała doskonale emocje, gdy po raz pierwszy ujrzała Ziemię z perspektywy orbity okołoziemskiej. Wzruszyła się na to wspomnienie. Kroczyła ścieżką nad rzeką, spoglądając w gwiazdy. Wiedziała, że nie są prawdziwe, ale teraz to nie miało znaczenia. Naszała ją tęsknota. Spojrzała w okna domu na farmie, w których paliło się światło. Sama zaprogramowała tę scenę z pamięci. Wiedziała, że to, co widzi, to iluzja, mimo to pragnęła, aby tam pójść, zasiąść do kolacji z rodzicami i braćmi. Czuła jednocześnie smutek i radość na wspomnienie swojego dzieciństwa.

W pewnej chwili wyczuła czyjąś obecność. Wyrwana z rozmyślań powróciła do rzeczywistości. Była w holodecku – nie mogło tam być nikogo oprócz niej. Gdyby ktoś wchodził, zobaczyłaby go, bo wejście było mniej więcej tam, gdzie przed chwilą zaszło słońce. Poza tym Ellie musiałaby ją poinformować, że ktoś wszedł. Mimo to wyraźnie wyczuwała, że jest tutaj jeszcze ktoś. Odwróciła się raptownie – za nią nie było

nic oprócz trawy na łące i wody w rzece. Przyszło jej na myśl, że może w programie holodecku jest jakaś usterka ale po chwili ta myśl wydała jej się mało logiczna. Pokręciła głową, jakby chciała wyrzucić z niej dziwne uczucie. Mimo to narastało, aż w pewnym momencie poczuła strach. Ponownie się odwróciła i tym razem ujrzała przed sobą postać. Stała nie dalej niż półtora metra od niej. Narastało w niej przerażenie. Zapewne doszłaby do wniosku, że to awaria holodecku, gdyby nie paralizujące przeświadczenie, że ktoś rzeczywiście przed nią stoi. Postać była słabo oświetlona, lecz wyraźnie widziała kobietę w kwiecie wieku, ubraną w niezwykłą złotą suknię wieczorową, ale z elementami, które znała tylko z opowiadań o starożytnym Egipcie. Miała długie, czarne, lśniące włosy, a na głowie opaskę z tajemniczymi symbolami. Najbardziej wyróżniał się ten nad czołem. Przypominał symbol władzy, noszony przez egipskich faraonów. Oczy kobiety były ciemne i patrzyły przenikliwie. Było w nich coś niezwykłego, nieludzkiego... Gdy zebrała się w sobie, chciała krzyknąć do Ellie, co to wszystko znaczy, lecz zanim zdążyła wydobyć z siebie dźwięk postać przemówiła:

– Nie smuć się i nie lękaj. Ujrzysz jeszcze swoich bliskich. Przyjdź do mnie i wszystko zrozumiesz – kobieta mówiła, lecz jej usta pozostały zamknięte. Wzbudziło to w Katrinie jeszcze większy lęk.

– Kim jesteś i jak się tu dostałaś...? – zdołała wydusić. – To jakiś test programu? Ellie? Co to ma znaczyć?

Jednak zamiast komputera znowu przemówiła tajemnicza kobieta:

– Teraz nie czas na zadawanie pytań. Przyjdź do mnie i wszystko stanie się jasne. Macie wskazówkę, wystarczy ją odczytać.

– Ale... – Zanim Katrina zadała kolejne pytanie, postać się odwróciła i odeszła. Zniknęła wraz z krajobrazem z rodzinnych stron. W jego miejscu pojawiła się wielka, lśniąca intensywnie tarcza księżycowa, w której rozpoznała Enceladusa. Postać unosiła się w przestrzeni

kosmicznej przed satelitą. Lekarce zapało dech w piersiach. Usłyszała jeszcze raz głos, który mówił: „Przyjdź do mnie”, po czym wszystko zniknęło. Stała w pustej, jasno oświetlonej hali holodecku.

– *Program przerwano z powodu nieznanego błędu. Czy mam kontynuować?* – Usłyszała znajomy głos Ellie. Dojście do siebie zajęło jej kilka sekund.

– Nie, Ellie. Na dziś kończymy – zdołała odpowiedzieć i oszołomiona ruszyła w stronę wyjścia. Dotarła do swojej kajuty, ale gdyby ktoś spytał, jak jej się to udało, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Myślała o dziwnym zdarzeniu w holodecku. W końcu zapadła w płytki, niespokojny sen.

* * *

Dźwięk alarmu na statku wyrwał kapitana ze snu o czwartej piętnaście czasu pokładowego. Zerwał się na równe nogi, ubrał w biegu i pobiegł na mostek sprawdzić, co się dzieje. Po drodze zdążył jeszcze przypomnieć sobie dziwny sen, jaki go nawiedził. Poprzez dźwięk alarmu słyszał komunikat komputera pokładowego:

UWAGA! ALARM RADIACYJNY! ZAŁOGA POWINNA NATYCHMIAST UDAĆ SIĘ DO SCHRONU!

Pomyślał, że jeśli alarm uruchomił się tak nagle, to najpewniej musiało stać się coś z reaktorem. Chciał spytać Ellie, ale postanowił najpierw udać się na mostek. Tam zastał jedynie Nishio. Pierwszy oficer pełnił wachtę. Było to zupełnie zbędne przy tak zaawansowanym technologicznie komputerze – przez całą dobę czuwał nad wszystkimi podzespołami, poczynawszy od ekspresu do kawy, poprzez

obserwację przestrzeni wokół statku, a skończywszy na napędzie – jednak taki był plan służby i kapitan na razie nie miał zamiaru z niego zrezygnować.

Od Nishio dowiedział się, że w kierunku statku zmierza olbrzymi rozbłysk słoneczny. W takich sytuacjach cała załoga udawała się do schronu, który znajdował się w przedniej części statku, w kadłubie. Rozbłysk został wykryty na dwadzieścia trzy minuty przed uderzeniem w statek, co było sporym zaskoczeniem. Nie tracąc czasu, opuścili moduł mieszkalny.

– Jakim cudem rozbłysk został wykryty dopiero teraz? – spytał kapitan pierwszego oficera, gdy zjeżdżali windą z modułu grawitacyjnego do kadłuba. Reszta załogi, która chwilę przed odjazdem dołączyła do nich, skupiła wzrok na pierwszym oficerze.

– Nie mam pojęcia – odparł Nishio. – To samo pytanie zadałem Ellie. Usłyszałem w odpowiedzi, że musiał wkraść się błąd...

– Błąd w komputerze za dwadzieścia pięć milionów dolarów? – spytał McLoyd.

– O tym samym pomyślałem. Co dziwniejsze, Ellie nie potrafiła podać konkretnej przyczyny błędu. Na pytanie, czy w wszystko w porządku z systemem, odpowiedziała, że tak...

Kapitan zamyślił się przez chwilę, po czym nagle zwrócił się do komputera:

– Ellie!?

– *Tak, kapitanie?* – zabrzmiał w odpowiedzi miękki kobiecy głos.

– Skanuj system w poszukiwaniu błędu!

– *Już to zrobiłam, kapitanie. Wynik: zero wykrytych błędów.*

– Wykonaj skan ponownie!

– *Kapitanie, powtórzenie czynności nie zmieni wyniku.*

– Wykonaj!

W tym momencie załoga wypłynęła z windy. Wewnątrz kadłuba rozstali się z grawitacją, którą zapewniały jedynie moduły pierścieniowe. Pomarańczowe, pulsujące światło alarmowe, biegnące falami wzdłuż ścian, bezustannie przypominało o pośpiechu. Po kilkunastu sekundach od wydania polecenia w korytarzu odbił się echem przyjemny głos Ellie:

– *Podaję wynik skanowania. Ilość wykrytych błędów: zero.*

– *Podaj prawdopodobną przyczynę opóźnienia w wykryciu rozbłyску!*

– *Błąd obliczeniowy systemu.*

Cała piątka wymieniła spojrzenia. Kapitan ruchem głowy pokazał na drzwi prowadzące do schronu, co miało oznaczać, że rozmowa będzie dalej kontynuowana bez udziału Ellie, której sensory ani kamery nie były tam zainstalowane.

– Czy ktoś ma jakiś pomysł, co mogło się zepsuć w najdroższym komputerze świata? – zapytał kapitan, gdy zatrzasnęły się drzwi. Inżynier ręcznie zarygłował wejście, które jako jedyne na całym statku nie było sterowane przez komputer. Takie rozwiązanie przyjęto na wypadek awarii systemu. Poza tym wyjątkiem wszystkie podzespoły były zintegrowane z Ellie. To według inżynierów-projektantów miało być idealnym rozwiązaniem. Na ścianie schronu znajdował się monitor z planem wszystkich pokładów, pierścieni grawitacyjnych i modułów zewnętrznych, który pokazywał załodze, w jakim stanie znajdują się poszczególne sekcje. Poza łącznością schron był odcięty od reszty statku. W przypadku katastrofy mógł się odłączyć. Stawał się wtedy kapsułą ratunkową, która automatycznie obierała kurs na Ziemię, wysyłając jednocześnie sygnał SOS.

Wszyscy zajęli miejsca w specjalnych fotelach i zapięli pasy. Do uderzenia rozbłyску zostało sześć minut.

– Nie mam pojęcia – odrzekł po chwili inżynier McLoyd. – Ale jeśli to się powtórzy, trzeba będzie zresetować system.

– To duże ryzyko. Cały statek jest sterowany przez Ellie – zauważył Nishio.

– Owszem, to ryzykowne posunięcie, ale większym ryzykiem byłoby nic z tym nie zrobić – odparł inżynier.

– Czemu to jest takie ryzykowne? – spytała Katrina. – Przecież później włączycie ją z powrotem.

– To nie takie proste. System Ellie zawiera dane całej misji. Jeśli zostaną skasowane w czasie restartu, przepadną przede wszystkim koordynaty lotu i nie będziemy mogli dolecieć do celu, nie wspominając o systemach podtrzymywania życia na pokładzie i w komorach hibernacyjnych. Nawet praca silników nadzorowana jest przez Ellie. Nie chcę się paniki, ale jeśli błędy będą się powtarzały, będziemy mieli duży problem...

– A nie można zrobić kopii zapasowej i wtedy zresetować system?

– Nie przewidziano takiej opcji w przypadku tego komputera – odpowiedział inżynier. Patrzył przez okienko w drzwiach na niebieskie oko kamery komputera. – Miał być nieomyślny.

Kapitan zacisnął zęby i pokiwał głową.

– Taaa... A Titanic niezatapialny – mruknęła lekarka. – Ludzka hipokryzja i zadufanie nie znają granic. Czy to się kiedyś zmieni?!

– Nadal nie potrafię zrozumieć, jak mógł wystąpić błąd w systemie opracowanym przez najlepszych programistów na świecie? – powiedział kapitan. Naszła go refleksja, że jego obawy zbyt często się sprawdzają.

– Wirus może zaatakować każdy system, a tak skomplikowany jak Ellie jest jeszcze bardziej narażony, nawet jeśli chronią go najlepsze programy antywirusowe. Ryzyko jest niewielkie, ale musimy się

liczyć z taką ewentualnością. Jeśli to pojedynczy błąd, to nie ma czym się martwić. Powtórka oznacza wirus, a wtedy będziemy mieć twarde orzechy do zgryzienia.

– Okej. Ale przecież wirusy pochodzą z zewnątrz, najczęściej z sieci – wtrącił kapitan. – Tutaj mamy do czynienia z układem całkowicie zamkniętym. Jakim więc sposobem mógł wkraść się wirus?

– Też się nad tym zastanawiam – odparł inżynier, drapiąc się po łysiejącej głowie. – Jest teoria mówiąca, że bardzo skomplikowane układy scalone, obdarzone inteligencją, potrafią same tworzyć nowe podprogramy, które nie są zgodne z podstawowymi dyrektywami systemu. Takie wolne rodniki. Coś jak nowotwór. Ale, jak wspomniałem, to tylko teoria.

– Zastanawia mnie inna rzecz; dlaczego NASA nie ostrzegła nas przed rozbłyskiem? – spytała Katrina.

Kapitan zauważył, że lekarka nie jest sobą. Sprawiała wrażenie, jakby była na silnych lekach. I nie mylił się – po wizycie w holodectku zażyła podwójną dawkę relanium. Oprócz tego doszło rozkojarzenie spowodowane zdarzeniem, jakie zaszło podczas seansu wirtualnej rzeczywistości.

– To proste. Wiedzą, że mamy niezawodną Ellie – rzucił Nishio.

– Niezawodna Ellie właśnie stała się zawodna. Zastanawiam się tylko... – Statkiem szarpnął potężny wstrząs. Światła zmieniły barwę na czerwoną i wszystko zaczęło wibrować jak podczas trzęsienia ziemi. Trwało to kilkadziesiąt sekund, po czym zaczęło się uspokajać. Lampy mrugały jeszcze przez chwilę. Gdy wibracje całkiem ustały kapitan, nacisnął przycisk interkomu w urządzeniu wielofunkcyjnym na ręce.

– Ellie!?

– *Tak, kapitanie?* – usłyszał głos komputera dobiegający z nadajnika.

– Jakie mamy obrażenia?

– *Dziewięćdziesiąt siedem procent sprawności systemu. Obrażenia mechaniczne: obniżona sprawność generatora elektrycznego, czas naprawy: trzy godziny, czterdzieści dwie minuty. Pozostałe sekcje sprawne w stu procentach.*

– Dobrze, przełącz dane uszkodzeń generatora robotowi naprawczemu. – Kapitan wstał z fotela. Reszta poszła za jego przykładem. Otworzył właz i wszyscy wrócili do wnętrza statku.

– *Już to zrobiłam, kapitanie* – odpowiedziała Ellie, gdy byli na korytarzu.

Na mostku odkryli, że uszkodzeniu uległa również instalacja elektryczna zasilająca szklarnię, szczęściem jednak nie wpłynęło to znacząco na uprawy. Pozostawało poważne zagrożenie w postaci zaburzeń w pracy systemu głównego komputera. Z tej awarii Ellie również nie złożyła raportu.

Reszta dnia upłynęła bez niespodzianek. Mimo to awaria wzbudziła niepokój wśród członków załogi. Mark zdawał sobie sprawę, że naprawa jest teraz priorytetem. Rozmyślał o tym wieczorem w swojej kwaterze, gdy usłyszał dźwięk informujący, że ktoś jest za drzwiami.

– Wejść!

W drzwiach stanął Nishio. Na jego twarzy malował się niepokój. Było to o tyle intrygujące, że pierwszy oficer był człowiekiem niezwykle opanowanym i bardzo rzadko okazywał emocje.

– Kapitanie. Chyba coś odkryłem. – W jego głosie słychać było przejęcie. Mark wstał z fotela i uważnie spojrzał na swojego przyjaciela. – Przez cały dzień sprawdzałem możliwe przyczyny zaburzeń w pracy systemu Ellie i chyba coś znalazłem...

– Zamieniam się w słuch.

– Przeanalizowałem kilka razy wszelkie czynniki mające wpływ na pracę systemu, ale nic nie mogłem tam znaleźć. W końcu razem

z inżynierem zaczęliśmy przeglądać raporty z sygnałów wysyłanych z Ziemi od początku wyprawy w nadziei, że uda się zlokalizować przyczynę anomalii lub źródło ewentualnego wirusa. Rzeczywiście, znaleźliśmy pewien sygnał, który miał i nadal ma wpływ na pracę Ellie. Rzecz w tym, że nie powstał w układach Ellie. Nie pochodzi też z Ziemi ani z żadnego innego statku czy bazy.

– W takim razie skąd, na litość boską...?

– Z Enceladusa.